

# Na koniec Zmartwienia agnostyczki

MAGDALENA BUCHOWSKA

Miało być konkretnie. Proszę bardzo. Konkret jest wielkości piłki pingpongowej i poinformował o swoim istnieniu dwa tygodnie temu. Potem okazało się, że ma też bardzo konkretne przerzuty na wątrobę i węzły chłonne. I że Ona jest zbyt słaba na chemię. I że właściwie nie ma już nadziei.

Mogłam się spodziewać, że prędzej czy później uderzy w kogoś bardzo bliskiego. Że te wszystkie historie opowiedane przez znajomych w końcu dotrą i do mnie. Tata Eli, mama Kaśki, kuzynka Daniela. Malutki synek Rafała. A „z tych znanych” nawet Steve Jobs i Anna Przybylska. Nowotworowe widomo krąży przecież po światach osób, które widzę na co dzień. W końcu trafiło i do mojego świata.

I nagle ten świat przestawił się na innej tory. Każdy z nas, choć zanurzony dotąd w zupełnie innych, codziennych historiach, zmienił bieg. Wartości zawirosowały, przemieszały się jak w kalejdoskopie, który jako pięciolatka dostałam od dziadka, i ustawiły się w rzędki raz jeszcze, teraz jednak w zupełnie innej kolejności. Czas zdecydowanie na prowadzeniu. Czas dla Niej. Wszystko inne może poczekać.

Idę tym zielonkawym korytarzem, wyłożonym (tak na oko już dobre 15 lat temu) szarym linoleum. Ścisła mnie w gardle, ścisła mnie w żołądku. To przecież ten sam szpital, gdzie jeszcze rok temu z kawałkiem wyłam z bólu na sali porodowej. Ten sam chemiczno-stołówkowy zapach, to samo linoleum, po którym zmęczona i szczęśliwa dreptałam z nowym życiem w łóżeczku na kółkach (teraz nowe życie czeka na mnie w domu – przecież dzieci do szpitala się nie bierze). Ona też ma łóżko na kółkach. Ma taką samą odrapaną szafkę jak ja wtedy. A w szafce stoiczki z „gerberkami”. I z kremami. I pieluchami. Pieprzony krąg życia tak właśnie wygląda: zaczynasz od pieluch, kremików i słoczków z rozdrobnionym jedzeniem. I kończysz tak samo. Totalnie zależny od innych, na łóżku przesuwany po szpitalnym linoleum.

Mężczy ją ten nowotwór, ale to przecież jeszcze nie koniec. Nie wiadomo, ile jeszcze pożyje (lekarz patrzy w sufit, unika spojrzenia w oczy, czyli raczej krócej niż dłużej), ale przecież jeszcze żyje. Jeszcze się uśmiecha, rozmawia przecież ze mną. Niewyraźnie, trzeba się trochę wsłuchać, ale rozmawia. Dali jej ładną koszulę, mówi, pielęgniarki takie miłe, dodaje. Była nawet odwiedzić komisję wyborczą, zapakowali ją na wózek i pojechała zagłosować. To w pierwszej turze. W drugiej nie miałaby już siły nawet postawić krzyżyka... Zresztą, jakie to ma znaczenie, przecież nowotwór nie pozwoli jej sprawdzić, czy pod rządami tego nowego cokolwiek się zmieni.

Zorientowała się za późno. Kiepsko się czuła już od dawna, to prawda, ale przecież pytała lekarzy. Jeden leczył ją na zapalenie pęcherza. Drugi zalecał odpowiednią dietę i metody naturalne (owsianka na zmianę z lewatywą, *excusez le mot*, kurwa, patent idealny na nowotwór jelita). Trzeci środki łagodzące – ból minie, będzie lżej. Nikt nie zlecił badań. A konkret rósł. I żądał coraz większej przestrzeni. Aż w końcu przyszedł kryzys. Na SORze

też jeszcze nie wiedzieli, o co chodzi, więc trzymali ją w poczekalni osiem godzin. A potem kazali się podpisać. Nie była w stanie, więc pomarudzili. Przyjęli.

Teraz gaśnie. Każdy dzień jest prezentem. Leży sobie cichutko, oczy ma coraz bardziej szklane. Gdyby mogła się odwrócić, z okna widziałaby połyskujący w słońcu stadion, dumę miasta. Widziałaby, że wiosna już w pełni, że ścieżką pod szpitalem mkną rowery w stronę plaży. Widziałaby cały ten świat na zewnątrz, który cieszy się, że żyje i że nie ma raka.



My tylko wymieniamy nerwowe spojrzenia. Trochę podkrążone oczy mamy wszyscy, każdy przecież musi ciągnąć własne życie. Ela przecież nie zostawi uczniów przed egzaminem – przyjeżdża po lekcjach, wieczorami. Kaśka nie pracuje, więc jest u Niej rano – jak tylko odstawi dzieciaki do szkół i przedszkola. Bolkowi udaje się czasem wyrwać z pracy w ciągu dnia – choć też nie jest łatwo, bo przez spadek cen ropy sytuacja na rynku się sypie, a biznes trzeba mieć pod kontrolą.

Ale kiedy z Nią być, jak nie teraz. Denerwują mnie ludzie, którzy jadą przez pół Polski czy Europy dopiero na pogrzeb. Po co jej będzie, do cholery, przyjaciel na pogrzebie? On potrzebny jest teraz. Więc teraz niech staje na głowie, żeby z Nią być. Nakarmić miętową herbatą przez słomkę, podać dwie łyżeczki jabłka z morelą. Złapać spojrzenie, kawałek uśmiechu.

Ostatnio mi się udało. Wsiadłam w samolot, pociąg, dotarłam. Uśmiechała się. Akurat rzuciło mnie na emigrację właśnie w tym momencie, w którym jej postawili diagnozę. Z tygodnia na tydzień, z soboty na sobotę widziałam jak gaśnie, jak znika, jak zżera ją ten pingpongowy konkret w brzuchu i te wszystkie przerzuty dookoła. Teraz będzie trudniej, myślę, bo wracam za dwa tygodnie. Czy ona tam jeszcze będzie na końcu tego korytarza wyłożonego szarym linoleum? Jeśli będzie, czy mnie pozna? A może to spojrzenie, które wymieniliśmy wczoraj, było ostatnie...

\*\*\*

Było ostatnie.

Jestem agnostyczką. Skonstatowałam to niedawno, przy okazji lektury artykułu w którymś z tygodników. Wcześniej zastanawiałam się, dlaczego rozmyślam nad zagadnieniami, które od tysiącleci uznawane są za prawdę. Byłam wychowana w tradycji katolickiej, choć moi bliscy nigdy nie uczestniczyli w kościelnych nabożeństwach. Wiara moja była więc na tyle wątpliwa, że zrodziły się wątpliwości. Rozważałam o istnieniu Boga, o tym, czy jestem kimś wyjątkowym, wreszcie o tym, co stanie się ze mną po śmierci i czy wówczas będę tym, kim

model najlepszy z możliwych, gdzie nie ma równowagi pomiędzy dobrem i złem, oczywiście na korzyść dobra. Musiał tak postąpić, bo nie wiedzieliśmy, co jest dobrem, nie znając zła. A więc skoro Bóg dał mi to poznać, dał mi też poczucie odpowiedzialności. Czy więc teraz, przed jego obliczem, miałabym stanąć naga i bezwolna? A jak ktoś nie chce żyć po śmierci? Chciałby zwyczajnie umrzeć, zniknąć, zanurzyć się w niebyt, przestać istnieć? A jeśli tam nic nie ma? Nie było mnie przed poczęciem, dlaczego więc mam istnieć po śmierci?

w niebie mnie lubi. Chcę w to wierzyć. Właściwie to jestem szczęściarą. Każdy – być może celowy, zaplanowany „na górze” – mój życiowy błąd nauczył mnie innego spojrzenia, rozumienia ludzi, dostrzeżenia tego, że było coś przede mną i będzie za mną, i że jestem tylko drobnym elementem w machinie życia. Pokora? A może dojrzałam? Dorosłam?

A może innym odczuwaniem tego, co nad nami, jest miłość – do mężczyzny, do dzieci. Może taki był ten boski plan. Jestem szczęśliwa, ale jednocześnie boję się, że może się to w pewnym momencie skończyć – chorobą, śmiercią kogoś bliskiego... Kilka razy pomyślałam nawet, że ten ktoś umiętnie – by nie powiedzieć, cynicznie – dozuje mi radości i smutki, abym nie popadła w pychę bycia szczęśliwym.

Kim więc jestem? Kimś szczególnym w ujęciu boskim, czy jednym z kilku miliardów ludzi? Na ile zbudowałam własną tożsamość, a na ile niosę w sobie geny przodków, tradycję i kulturę, w której żyję? O ile byłoby prościej nie myśleć... A może nie jesteśmy jako gatunek ludzki czymś aż tak bardzo znaczącym, a ludzka świadomość jest efektem milionów lat ewolucji i jedynym naszym celem powinno być utrzymanie życia jako zjawiska ciągłej zmiany. Ale to chyba nie może być takie proste. Jest zbyt proste. Właściwie to sami stworzyliśmy sobie wiarę, by tłumaczyć niepójte. Wiara przecież wszystko wyjaśnia, są dogmaty, prawdy objawione. Mamy je przyjmując lub nie.

Poczucie niewiedzy o tym, co po drugiej stronie wywołuje egzystencjalny lęk, ale – paradoksalnie – pozwala żyć. Jeśli dowiedziałabym się, że życie po śmierci jest przerażające, życie tutaj byłoby nie do zniesienia z braku jakiegokolwiek nadziei, a taka perspektywa paraliżowałaby każde działanie.

A z kolei jeśli mielibyśmy pewność, że tam jest niebiańska kraina wiecznej szczęśliwości, w której Bóg jest czystym dobrem, to wówczas ludzie nie chcieliby żyć na ziemi ani chwili dłużej... A może nic tam nie ma? Trzy możliwości i żadnej odpowiedzi. Wciąż pozostaję w punkcie wyjścia i nie posunęłam się nawet o krok. Jedynym prawdziwym twierdzeniem może być tylko zdanie apofatów, że natura Boga jest niepoznawalna na drodze rozumowej. Zadaję pytania wiedząc, że nie znajduję odpowiedzi.

Bożena Ptak

\*\*\*

Zazdroszczę tym którzy wierzą w siebie komuś w kogokolwiek i w cokolwiek codziennie o modlitwę się modlę od życia czołgam się w kierunku nieba ze strachem pickła wyglądam i o ratunek wołam i wołam

\*\*\*

Powoli boli czas coraz chłodniejszy na rzetelnym pasczku wspomnień dynda brat i pozuje do moich wierszy zamknął za sobą drzwi i po angielsku się ulotnił a ja nie mam dokąd ciała wynieść bo strach że mój brat nie wybiegnie mi na spotkanie